

STANISŁAW ŚLAWIECKI.

Z CYKLU: „NA STRUNACH DUSZY“.

SMUTEK

Mówili ludzie, że oszalał.

Siwy włos, w lśniących kędziarach opadający na starcze ramiona, wiatr rozwiewał, targał nim... Oczy pocziwe, dobre oczy, starością lat spłowiałe, patrzyły uparcie w dal, jakby za widnokręgu kresem młodości szczęsną wypatrując złudę...

Pochyliła się zboląła głowa na piersi, zeszcłę usta niezrozumiale szeptały wyrazy...

Milczał, lecz ze spojrzenia oczu, z warg sinych poruszenia, z każdego ruchu bezsilnego ciała znać było, że żyje, że myśli, że czuje.

Smiali się zeń przez łzy.

Smiali się, a serce dziwny przenikał żal, smutek niem targał bez granic.

— Biedny dziadunio! — mówili — zmysły postradał.

Dziadunio — zdało się — wszystkich tych rozmów, spojrzeń i znaków nie rozumiał, jak gdyby oślepił, ogłuchł, oniemiał. Nie jadł prawie, nie spał. Wśród nocy, gdy wszyscy dniem minionym umęczeni, w śnie pogrążeni śnili, zrywał się; z piersi dobywał się szloch, szloch dziwny, starczemi wstrząsający piersiami. Powietrza widocznie znękanym brakowało płuc... choroba go dobijała?

Nie...

Smutek go pochwycił w swe miękkie ramiona. Smutek, jak kochanka-hetera, jak sfinks.

Smutek, ciche dający chwile ukojenia, smutek straszną budzący tęsknotę, ból zdradliwy, zabójczy...

Smutek jego zbolął głowę do swej piersi uczuciem drżającej przytulił, myśli w szczęśliwe dziecięcych wspomnień zapędził krainy, do rodzinnych powiódł stron...

...Ukazał mu cichą, w słońcu dobrem tonącą wieś, zieleń ogrodów i biel wiejskich chat.

Przyniósł mu w dalekie strony z rodzinnej wsi zapach wonnych łąk, szmer cicho szemrzących strumieni i naszą pieśń wśród pól.

W majowy wieczór... wiosny czar... radości leci pieśń... na wiejskim kościele dzwonki dzwonią... wszystko się śmieje...

Pryska czar. Znika złuda snu...

...Jakieś drewniane, obce ściany, zimne, wilgotne. Ponury wschodzi dzień, nie świeci radośnie słońce, nie śmieje się zieleń drzew.

Budzi się myśl... Wywieźli ich w nieznaną kraj, między obcych rzucili ich ludzi, zdala od ojczystych stron. Stroskane matek oblicza, dzieci płacz, hiobowe wieści... Z drewnianych ścian baraku, z rozrzuconej na podłodze słomy, z błędnych pasów światła, przez małe okienka się przedzierających... z tych ludzkich ciał beładnie rozrzuconych w śnie, szedł smutek.

Każda twarz, każde ułożenie się bezwiedne ciał, rezygnację zdradzały, bezdenne smutek.

Czasem z dziecięcej piersi dobywało się tęskne westchnienie, chrapliwy, starczy, rozlegał się jęk.

Starzec obłąkanym niemal toczył wzrokiem po tej ludzkiej nędzy; z żalem i bólem krążyła myśl dokoła umęczonego człowieczeństwa i rwała się w jasne dni.

Przyszedł na świat w przedymionej kurnej chacie. Stara skrzynia kołyską mu była, a płacz i jęk biedy piosenką piastunki. Nie znał on śmiechu ni dni radosnych, jeno smutek, ból i żal.

Te dziecięce-dni na całe zapamiętał życie i uniósł z nich jako wspomnienie smutek i ból, co mu w głębi duszy drgał...

Ale przyszły dobre dni...

Pastuchem został, ledwie dobiegł chłopięcych lat, zaledwie z dziecka wyrósł. Słońce mu świeciło wtedy i bór szumił cudną pieśń, łąki mu oczy cieszyły

i strumień się śmiał... Tyle uciech, tyle szczęścia... ileż baśni precudownych wschodzące przyniosło mu słońce, a łagodny, błady księżyc... czego on mu nie powiedział... tyle tajemnic, tyle tajemnic...

I pocziwe było życie, gdy śnieg białym płatem legł, gdy mróz, jakby na skinienie, wody w kryształ ściał.

Radośnie się śmiały chłopięce oczy i dusza się zaśmiewała, chociaż kęsa chleba bardzo często brakło.

Głodno było, chłodno było, ale jakoś dobrze; ojczystym mówił językiem i wszyscy cię rozumieli.

A dziś?

Mówisz i mówisz, skarżysz się z płaczem, a oni się śmieją, ramiona ruszają, jak gdybyś z innego był świata. Ból szarpie ci serce, smutek je zalewa, a oni się dziwią, żeś smutny.

A kiedy zapłaczesz i zamrą ci usta ze żalu, pomysła po prostu — oszalał staruszek.

I niczem jest dla nich, żeś z ojczystych wygnan zagonów, że ci tęsknota i smutek znękaną przepełnia duszę.

Mało im jeszcze, ty śmiać się winienesz, gdy głodem przymierasz, gdy serce ci drży z rozpacz, tyś cieszyć się winien, że możność ci dano ofiarę złożyć z siebie.

I patrzą zdziwieni, że ty masz pragnienia, że tęsknisz za czemś, co jest nieziszczalne... o polski chłopie!

Niedosyć jeszcze przelałeś krwi, niedosyć zniosłeś bólu...

O dobre, dobre dni na ojczystym łanie — szepiała mu uparcie myśl, a zbłądłe oczy łzami zabłyśły smutku i tęsknoty.

Wrócić, wrócić — szeptała dusza — choć raz przed śmiercią na ojcowską spojrzeć chatę, na ojczysty łan. Jeszcze raz w życiu starych lip posłyszec rozmowę i w szarej godzinie żab rechotanie. W moulącą się, wieczorną wsluchany ciszę, usiąść u progu domostwa...

Co za-sny, co za sny...

A wszystko to rzeczywistością było.

I kir prawdziwego smutku kładł się na duszę, otulał serce.

Czy to już wszystko przeszłością tylko? Czy się nie wrócić dobre dni?... Zbuntowało się serce żalem przepełnione, porwała się uśpiona tęsknota.

Ze świtaniem, w szarudze wschodzącego dnia kij wzięwszy w trzęsącą się rękę, poszedł. Dziwili się wszyscy, gdzie podział się dziadek; szukano go, lecz wszystko daremnie.

— Zdziwaczał staruszek! Biedak, dziadunio zmysły postradał — mówili.

W mroku jeszcze spoczywał świt. Wilgotna mgła przepełniała powietrze, tłumiła każdy odgłos życia. Milczało wszystko; milczał uparcie las, jak gdyby zamarł, zamknął się w sobie, milczały strątowane ugory.

Milczały wyludnione wsie... zamarło życie.

Śmierć tędy przeszła. Nie ta cicha w białej szacie, z kosą w rękę w noc pukająca do chat, lecz ta krzykliwa, strasza, bezwzględna, w stał odziana.

Przeszła tędy śmierć, milionami najeżona bagietów, tysiącami dysząca paszcz, wiecznie otwartych, wiecznie na ofiarę czyhających, wiecznie głodnych.

Ukryło się życie, resztkami dygocące sił, przeżalone, oniemiałe; pod ziemią szukało schronienia, wytchnienia, spokoju.

Jak duch, jak cień włókł się staruszek. Nie widział przed sobą drogi, nie szukał znajomych mu miejsc; szedł przed siebie. Wiedział, że dojdzie tam, gdzie go wołało serce, do czego rwała się dusza, do ojczystej wsi. I jeszcze ujrzy raz ten słomą kryty dom, w ojcowskie zajrzy kąty, zaśmieje się dusza, serce zanuci radosną pieśń... dziecięce ożyją wspomnienia. A potem...

I szedł. Szedł, ostatki dobywając sił. Co krok niemal potykał się, upadał, lecz dźwigał się i włókł swe stare kości na ojczysty łan. Jeszcze mila, jeszcze pól.

Teraz las, za lasem wieś.

U skraju lasu upadł. Zimny pot kroplami wystąpił na zmarszczkami pokryte czoło, bezsilność opanowała członki; jakby sen, jęło go mroczyć, powieki niby ołowiane opadały na oczy. Plecami oparł się o drzewo, głowa bezsilnie opadła na piersi. Bronił się staruszek przed chwilą słabości, siłą woli przywołując świadomość.

— Boże, Boże — szeptały wargi — daj mi tę radość, by na ojczystej spocząć ziemi, wśród naszych pól.

Chyliła się coraz niżej głowa, zastęgała twarz, przymykały się powieki.

Zaszumił nieśmiało las i kołysał go do snu... I śniło mu się, że jakieś nowe rozpoczął życie, takie dobre, ciche i radosne. Śnił mu się cudny, pachnący las... to znowu ogród pełen barwnych kwiatów rozścielił się przed nim... ścieżka świeżym piaskiem wysypana wśród drzew cienistych wiodła... słońce tak świeciło radośnie...

Chwila, a potem chmury ołowiane zasłaly widnokrąg, coraz większe i czarniejsze; wzdłuż strątowanych, bólem jęczących, jęły sunąć pól.

Mogila obok mogiły jęła wyrastać, same krzyże, same krzyże... taki smutek, taki żal szedł z tych mogił i z tych pól, taki jęk i krzyk rozpacz.

Ostry, przenikający do głębi ból. Z starczych piersi dobyło się westchnienie, twarz biała, siną się niemal stała. Wyciągnął przed się ręce, jakby ginącą, złudną marę chciał pochwycić. Otworzył oczy.

Dniało.

Skupił w sobie wszystkie siły, jedną ręką wsparł się o drzewo, drugą na swym kiju i uniósł się z ziemi. Ruszył w las. Tam za lasem... byle tylko sił starczyło, byle tylko dojść.

Nagle, gdzieś niedaleko zagrzmią. Echo wśród lasu stokrotnie grzmot powtórzyło i nie zamilkło jeszcze, a już grzmiało raz drugi, trzeci, dziesiąty. Jak rozhukane fale oceanu o brzeg biją skalisty, tak były powietrzne fale o sosnowe drzewa.

Zadrżał las, zachwiały się wierzchołki drzew i oniemiały; tylko echo jak stousta plotka wśród pni się przewijało i niosło dalej strach i smutek...

Przystanął na chwilę staruszek, wsluchał się w to strasne wyzwanie i ruszył dalej.

Najwyższy czas, chwila, a przyjdzie za późno... Tumult się zwiększał. Zdało się chwilami, że to siły natury zwały się ze sobą, że tu walczą tytani o swe prawa, a raczej o swą przemoc.

Las rzednął; wśród mgły i dymu nic nie można było dojrzeć. Huk nieustanny wybuchających pocisków, warkot karabinowych strzałów... jakaś piekielna symfonia...

Zaczął biedz; nerwy w nim ożyły, oczy błyszczały gorączkowo. Niespokojnie rzucał spojrzenia, w duszy coś mu drgać zaczęło, jakieś przecucie...

— Tu, tu — szepcze mu myśl — tu, tu, gdzie biegniesz dalej szalony. Tu...

— Gdzie? — pytają szeroko rozwarte oczy.

— Jezus Maryja! Gdzież jest to gniazdo moje, gdzie... Co znaczy ta ruina?

— Więc to jest wszystko? — Ból wstrząsał piersiami starca. Nie płakał, tylko oniemiałym wzrokiem patrzył na cmentarzysko życia...

Smutek wśród porozwalanych błakał się ścian, wśród popalonych resztek.

Z sterczących, nagich ścian, ze skopanej, porytej kopytami ziemi, z śladów przelanej krwi i walających się w popiele poszarpanych ciał skarga się strasza dobywała, smutek wiał.

Więc to tu... słońce mu świeciło wtedy i bór szumił cudną pieśń, łąki mu oczy cieszyły i strumień się śmiał.

Tyle uciech, tyle szczęścia... ileż baśni precudownych wschodzące przyniosło mu słońce, a łagodny, błady księżyc...

Tuż u jego stóp jakieś ciało walało się w krwi zakrzepłej. Z bladej, młodej twarzy niewypowiedziany smutek szedł.

Jeszcze raz objął wzrokiem swe rodzinne siolo, w pola zielone chciał spojrzeć, w dal... Runął...

Przestało serce bić.

